

Dr. A. WYLM.

# KORALOWY RÓŻANIEC

9

Romans psychiczny.

Ciąg dalszy.

— Był pan w Balizac?

— Nie, od zranienia nie miałem już snu. Widać śpię za lekko.

— Ona tu przyszła?

— Tak. Było już pół do dwunastej; matka moja spała. Jestem pewny, że czuwałam. Ujrzałem postać Łucyi przy swym łóżku; poruszała wargami, lecz nic nie słyszałem. Przypomniałem sobie, co sam czyniłem, by ukształtować jej postać i poprosiłem, by położyła mi rękę na czoło. Zasnąłem i zobaczyłem potem Łucyę wyraźnie. Rzekła mi:

— Co z tobą się stało? Jestem niespokojna. Tak dawno nie byłeś? Czy jesteś cierpiący?

— Byłem ranny, Łucyo i czuję się jeszcze słaby, lecz nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

— Kto cię zranił?

— Nie wiem.

— Gdzie twoja rana?

Pokazałem jej miejsce, w które zostałem pchnięty.

— Drogi przyjacielu — rzekła mi — zły los nas prześladowe. Odnajduję cię chorym i słabym. Twoja nieobecność do rozpacz mi doprowadzała.

— Uspokój się najdroższa, więcej cierpiałem, że ciebie nie widziałem, niż z rany; wizyta twoja przywróci mi siły. Lecz co z tobą się dzieje?

— I moje ciało jest słabe. Od powrotu leżę ciągle i nie mogę się jeszcze podnieść. Co dzień było mi gorzej, gdyż nie widziałam cię; tęskniłam za tobą bardzo. Dzisiaj modliłam się długo, by Bóg przyszedł mi z pomocą. Potem przyszła mi myśl wziąć twój list ze szkatułki: położyłam go sobie na sercu. Ogarnęła mnie jakaś błogość i usnęłam, a teraz jestem przy tobie. Wybacz mi, że jestem prawie szczęśliwa, widząc cię rannym, gdyż wiem teraz, że twoja nieobecność nie była umyślną.

— Gdyby wola moja nie spotykała przeszkód, nie opuściłbym cię ani na chwilę. Nie posądzaj mnie, bym mógł cię kiedy zapomnieć.

Wzięłam ją na ręce i siadłam, kołysząc ją jak małe dziecko. Długo rozmawialiśmy; powiedziała mi rzeczy, które muszę powtórzyć zaraz panu doktorowi.

Pan był u niej dwa razy, za drugim razem z doktorem Quinsac. Po pańskich wizytach uspokoiła się i nabrała otuchy, lecz wkrótce znowu się zaniepokoiła. Pan już się później nie zjawił, a tam przybył potem inny lekarz, doktor Pontarlier. Powiedział jej, że wkrótce wyzdrowieje, że zapisze jej energiczną kurację, że za tydzień będzie mogła znowu wyjechać z mężem, gdzie zechce. Łucya podejrzewa, że znowu dawne wpływy zagrażają jej. Niech pan doktor przyjdzie nam na pomoc, jedyną nadzieję widzimy w panu.

— Bardzo dobrze pan zrobił, że mnie zawiadomił, uczynię wszystko, co tylko będę mógł. Muszę teraz pana opuścić, by nie tracić czasu.

Zatelegrafowałem zaraz do Quinsaca, by czekał na mnie o godzinie dziesiątej wieczorem przy telefonie, gdyż potrzebuję szczegółów o doktorze Pontarlier. Potem napisałem do ks. Jaugi, by zebrał jakie wiadomości i przybył do mnie na drugi dzień rano.

Zaządałem komunikacji telefonicznej o dziesiątej, a połączyli mnie z Quinsacem dopiero o dziesiątej minut czterdzieści. Mój dobry kolega czekał na mnie.

— To ty Quinsac? Jestem Heurtault.

— To ja. Jak się ma baron?

— Nic nie wiem, nie wzywali mnie.

— Czyż możliwe!

— Posłali natomiast po doktora Pontarlier. Kto to jest?

— Wiele wartości umysłowej, wiele wiedzy, lecz ściśle związany z partią katolicką. Uczciwy człowiek, podatny jednak na wpływy polityczne. Przewodniczący jakiegoś świeckiego towarzystwa przy kongregacji.

— Wszystko już teraz jasne. Zaczynam działać.

— Informuj mnie. Życzę powodzenia. Może mogę być wam pożyteczny?

— Czy znasz przełożonych ojca Furstera?

— Jak ci już mówiłem.

— Powiedz im, że intrygi ich agenta wyszły na wierzch i jeżeli nie porzucą sprawy w Balizac, będę zmuszony zdemaskować ojca Furstera.

— Zaraz jutro rano spełnię twoje życzenie.

— Dziękuję ci, do widzenia.

— Do widzenia.

Na drugi dzień miałem wizytę księdza Jaugi.

Biedny proboszcz był zmartwiony. Zdołał widzieć się z paną Franchard, lecz baronowa była niespokojna i milcząca, baron zaś lodowaty. Nie wiele też proboszcz wiedział. Pan Delille po wizycie Quinsaca wyjeżdżał gdzieś na dwa dni, powrócił zaś z ojcem Fursterem i we troje z baronem odbyli jakąś tajemniczą naradę; wieczorem dnia tego pojechano na dworzec po doktora z Paryża. Był to Pontarlier, który zapewnił państwa Franchard i ich zięcia, że pani Delille cierpi na osłabienie nerwów, lecz ma nadzieję przywrócić ją wkrótce do zdrowia. Kazał sobie opowiedzieć historię z różańcem i polecił go schować. Szukano go w pokoju Łucyi, lecz na próżno, nie śmiano zaś pytać jej, gdzie go położyła.

— O panu i doktorze Quinsac — mówił ten zany kapłan — doktor Pontarlier wyrażał się z wielkimi pochwałami, uważał jednak zdanie panów za zbyt pesymistyczne. Przytem powiedział jedną rzecz prawdziwą, że panowie nie są wierzący i nie wiedzą, jaką pomoc może znaleźć lekarz w wierze chorych i ich poddaniu się woli Bożej. Jednym słowem — zakończył proboszcz — wszystko idzie coraz gorzej, lecz Bóg przezwyjęczy wszelkie przeszkody.

Podziękowałem księdzu i prosiłem, by był łaskaw przyjść do mnie na śniadanie, wymówił się jednak od zaproszenia pod pozorem załatwiania różnych spraw. Domyśliłem się, że osoba moja jako niewierzącego, mogła księdza narazić, tembardziej też byłem mu wdzięczny, że mimo to przyszedł do mnie. Gdy zostałem sam, wyjąłem z biurka paczkę dokumentów i z nią udałem się do ojca Furstera. Miałem stoczyć walkę z największym przeciwnikiem mych protegowanych.

## IV.

Ojciec Furster mieszkał w starym domu w ciasnej uliczce, w środku jednak miasta. Stróż o minie braciszka, w świeckim ubraniu, z podejrzliwością otworzył mi drzwi, za którymi znajdowała się krata, broniąca wstępu na korytarz. Zdawało mi się, że wszedłem do fortecy lub więzienia. Zapytałem o ojca Furstera, lecz odpowiedział mi stróż, że tutaj nie mieszka. Nie dałem się zwinąć, lecz oznajmiłem mu, że wiem, iż tutaj jest i prosiłem go, by zaniósł mi kartę. Napisałem na niej tych kilka kabalistycznych słów:

Leipziger Bank, 12.000 m.: Harisson et Smith, 800 funtów szterlingów; Felipe Lopez y Cia, 10.000 p. etc.

Stróż wziął mi kartę z niechęcią, z wzrastającą nieufnością przeczytał słowa, jakie napisałem, zamknął za sobą kratę i poszedł. Wkrótce powrócił szybkim krokiem, prosząc, bym szedł za nim. Weszliśmy na długi wilgotny korytarz, minęliśmy dwa piętra i wprowadzony zostałem do pokoju, którego umeblowanie składało się z małego żelaznego łóżka, umywalni i dwóch krzeseł. Dwie wysokie białe szafy stały przy ścianie, między dwoma oknami znajdował się kłęcznik. Pośrodku pokoju przy dużym stole, założonym książkami i papierami, ale ułożonymi w wielkim porządku siedział ojciec Furster. Podniósł się, gdy wszedłem:

— Pan pragnął mnie widzieć — rzekł uprzejmie.

— Tak, ojcie — odrzekłem, patrząc na niego.

Ojciec Furster był mężczyzną średniego wzrostu, chudym, suchym. Siwawe włosy nosił krótko ostrzyżone, nie zachowując tonsury; czoło miał wysokie, nos prosty, oczy czarne, zaciśnięte wąskie usta i kwadratowy podbródek. Ubrany był w czarny angielski garnitur; widocznie stał się już świeckim. Wyraz tego człowieka znamionował siłę umysłu i charakteru. Podczas, gdy mu się przyglądałem, rzekł do mnie:

— Nie jestem już ojcem Fursterem; ciężkie warunki, jakie przeżywamy, zmusiły mnie do opuszczenia zakonu. Chociaż jestem księdzem, nie śmiem nosić sutanny.

— Nie przychodzę, wielceby ojcie, jako nieprzyjaciół, przynajmniej na razie, od ojca jednak zależy, bym się nim nie stał. Zbyt również cenię ojca, bym miał mówić ogólnikami, dlatego też odrazu przystąpię do rzeczy. Przychodzę prosić o wyjednanie unieważnienia małżeństwa państwa Delille.

— Mimo całych chęci okazania się uprzejmym, nie mogę zaspokoić pańskiego żądania. Nie mam żadnych wpływów, a pan żąda rzeczy, która nie ode mnie zależy.

— Postaram się wytłumaczyć jaśniej, proszę tylko o łaskawe odpowiedzi na moje pytania.

— Chętnie uczynię to, o ile tylko będę mógł.

— Ojciec wie, że byłem wzywany do pana Leyre i panny Franchard?

— Tak, panie.

— Również ojciec wie, że doradzałem baronowi

Franchard, by nie przeszkadzał córce w zerwaniu ze swym narzeczoną.

— Tak!

— Dlaczego ojciec wdał się w tę sprawę? Dlaczego użył swych zdolności, swego daru przekonywania i swych wpływów na doprowadzenie do skutku małżeństwa, które stało się nieszczęściem obojga młodych ludzi?

— Tylko swym przełożonym winienem tłumać się.

— Dobrze! Dlaczego niedawno jeszcze doradził ojciec panu Delille i panu Franchard wezwanie doktora, który podlega klasztornej władzy, by zwalczał opinię, wyrażoną przezemnie i doktora Quinsaca?

— Nie rozumiem pana.

— Będę jeszcze jaśniejszym. Proszę bardzo o powiedzenie mi, dlaczego ojciec poradził ojcu i mężowi panny Franchard sprowadzenie doktora Pontarlier, który, powtarzam, podlega wpływom ojca.

— Na doktora Pontarlier nie wywieram wcale żadnego wpływu.

— Może być, mówmy w takim razie o wpływach zakonu całego; jest on przewodniczącym świeckiego towarzystwa, które nabyło niby zakonne nieruchomości.

Ojciec Furster ani nie poruszył się.

— Ojciec ma za zadanie przygotować odwet katolików przy najbliższych wyborach, a przez małżeństwo pana Delille z panną Franchard chciał ojciec zabezpieczyć swemu dawnemu uczniowi wybór na posła. Plan jest sprytny, chociaż powodzenie jego nie zupełnie pewne. Za pośrednictwem różnych osób ojciec wydał już dwanaście tysięcy franków w okręgu, który nas zajmuje. Użyte zostały do tego osoby, które mam tutaj zanotowane, a pieniądze z banku podniósł siedemnastego lipca miejscowy stróż.

Zakonnik słuchał mnie, nie okazując najmniejszego zmieszania.

— To samo było w okręgu Charente; znam i kandydatów ojca i agentów; otrzymali oni dwadzieścia tysięcy franków, wysłanych za czekiem Harrison i Smith w Londynie. Czek ten był wystawiony na znanego kupca, który jest członkiem zarządu tego świeckiego towarzystwa.

W tym tonie mówiłem, nazywając po nazwisku kandydatów katolickich i agentów i wymieniając sumy, wydane na agitację.

Gdybym nie był przekonany o prawdziwości tych szczegółów, spokój ojca Furstera mógłby wzbudzić we mnie podejrzenia i wątpliwości. Zakonnik nie przerywał mi ani słowem, a gdy skończył, ograniczył się tylko do tych słów:

— Bardzo jestem zdziwiony tem wszystkim, co mi pan powiedział, nie wiem jednak do czego ma to prowadzić. Ponieważ jednak o wszystkim muszę zawiadamiać swych przełożonych, proszę o udzielenie mi na to czterdziestu ośmiu godzin. Widzi pan, że nie ukrywam wcale mego położenia.

— Zgadza się na tę zwłokę, pragnąc bardzo, by zapanował między nami zupełny spokój. Oto spis faktów, którego nie za waham się podać rządowi, jeżeli będę do tego zmuszony.

Pożegnałem zakonnik, pozostawiając mu na stole notatkę o wydawanych na agitację sumach i wyborczych agentach. Ojciec przyjął ten akt oskarżenia z zupełnym spokojem i z wielką uprzejmością odprowadził mnie aż do kraty. Nie wiem, czy dobrze trafiłem, energiczny zakonnik nie zdradził się żadnym ruchem, ani słowem.

Wątpiłem o powodzeniu: zdawało mi się, że mój przeciwnik spalił za sobą mosty i nie zmieni swych zamiarów. W wielkim też niepokoju spędziłem te dwa dni.

W oznaczonym terminie o godzinie ósmej rano przybył do mnie ojciec Furster.

— Odnoszę panu notatkę, którą pan mi pozostawił; nie przedstawia ona dla nas żadnej wartości, uznaliśmy jednak, że lepiej jest uniknąć wszelkiego hałasu. Nadszedł dla nas czas bardzo ciężki: ani rząd, ani jego urzędnicy nie wzbudzają w nas zaufania. Skutkiem też tego polecono mi dowiedzieć się dokładnie, czego pan od nas żąda.

— Już powiedziałem to, mój ojcie: unieważnienia ślubu panny Franchard.

— Pan żąda rzeczy, która nie od nas zależy. Związki małżeńskie w kościele katolickim są nierozwalne.

— Warunek więc mój jest odrzucony?

— Niemożliwe jest przyjęcie jego.

— A jednak to jest jedyny sposób uniknięcia zasłużonej kary — odrzekłem gniewnie.

— Kary? — powtórzył dumnie ojciec Furster.

— Tak. Ze względu na czysto politycznych, by zapewnić powodzenie swym planom wyborczym, nie zawahał się ojciec złamać życia młodego dziewczęcia